

Wspomnienie

Profesor Bogumił Pawłowski zmarł dnia 27 lipca 1971 r. w schronisku „Spiros Agapitos” u podnóża Olimpu w Grecji. Uległ wypadkowi już po zejściu ze szczytu bogów, gdy nachylił się by zerwać jakąś roślinę. Stracił wówczas równowagę, potoczył się po stoku i uderzył o kamień podstawą czaszki. Utracił przytomność po wylewie krwi do mózgu. Przetransportowaliśmy Go nieprzytomnego do schroniska, gdzie zmarł następnego dnia. Wtedy dopiero dotarli tam lekarze, którzy orzekli, że nie było możliwości ratunku.



Okazy zielnikowe roślin zebranych przez profesora Bogumiła Pawłowskiego w czasie ostatniej wycieczki na Olimp w lipcu 1971 r.

Profesor marzył od lat, ażeby odwiedzić Olimp. Dlatego po zakończeniu „Międzynarodowej Wycieczki Geobotanicznej” przez Grecję wybraliśmy się w pasmo Olimpu małą grupą: Profesor Pawłowski, Adam Jasiewicz, Kazimierz Zarzycki, Werner Greuter (botanik z Genewy) i młody Grek, by zapoznać się z jego bogatą florą.

Cieszę się bardzo, że Profesor Ludwik Frey z gronem kompetentnych osób zorganizował sesję z okazji 40-lecia śmierci Profesora Pawłowskiego. Wygłoszone referaty bardzo dobrze i dokładnie scharakteryzowały dorobek Profesora w zakresie systematyki, geografii roślin i fitosocjologii, toteż właściwie nie mam nic do dodania.

Dobrze znałem Profesora Pawłowskiego, byłem Jego asystentem i współpracownikiem, a On był moim Mistrzem. Należał do najwybitniejszych botaników polskich i europejskich XX w. Był też zaangażowany w problemy ochrony przyrody, proponował tworzenie „powierzchni niezmiennalnych” dla ochrony zbiorowisk łąkowych, z zachowaniem dotychczasowych metod użytkowania, był przeciwny całkowitej eliminacji wypasu owiec w Tatrach. Był zaangażowanym nauczycielem akademickim, prawym, kochanym człowiekiem, doskonałym znawcą flory Karpat i Europy, całkowicie oddanym nauce.

Był człowiekiem głęboko wierzącym, twierdził że w niedzielę należy „iść do kościołka”, a w czwartek... na posiedzenie Towarzystwa Botanicznego. Chętnie chodził na operetki, był wielbicielem Piłsudskiego i generała de Gaulle'a, którego pamiętniki czytał w oryginale.

Kazimierz Zarzycki

Mój Mistrz

Profesor Pawłowski był wysokiej klasy uczonym, w zakresie taksonomii roślin naczyniowych niekwestionowanym autorytetem europejskim, jeśli nie światowym.

Był moim Mistrzem, pod Jego kierunkiem wykonywałam pracę magisterską i doktorską, z Nim dyskutowałam przygotowując pracę habilitacyjną. Niestety już nie żył, gdy nadawano mi na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora habilitowanego.

Profesora spotkałam po raz pierwszy w 1954 r. w Tatrach, gdzie „botanizował” ze swoimi asystentami. W latach 1955/1956 słuchałam Jego kursowych wykładów z geografii roślin, ekologii roślin i szaty roślinnej Polski, a od kwietnia 1956 r. aż do czasu Jego tragicznej śmierci na Olimpie w roku 1971 byłam z Profesorem „na co dzień” pracując w Jego Zakładzie. Jaki pozostał w mojej pamięci po ponad pół wieku?

Był botanikiem entuzjastą i ten entuzjazm przekazywał automatycznie nam. Wiele godzin i dni spędzaliśmy z Profesorem w terenie, często na tatrzańskich łąkach, gdzie wykonywaaliśmy zdjęcia fitosocjologiczne, czy w tatrzańskich lasach, na Sarniej Skale opracowując mapę zbiorowisk roślinnych. Uczył nas wtedy nie tylko botaniki, lecz również wskazywał na piękno przyrody i jej wartości dla kultury, tłumaczył konieczność jej ochrony.

Był tytanem pracy, pojawiał się w Instytucie około godziny 10 rano, pozostawał w nim do późnych godzin wieczornych. Światło w Jego pokoju paliło się najczęściej do godziny 22.00. W ciągu tych 12 godzin, pracując intensywnie, wypijał „morze” herbaty, wspaniale

przez siebie zaparanej. Często, głównie w godzinach popołudniowych, towarzyszyliśmy Profesorowi w Jego przerwach od pracy, dyskutując na przeróżne tematy zawodowe i niezawodowe.

Lubił, gdy wszyscy asystenci byli obecni w Zakładzie w ciągu całego niemal dnia. Gdy nie mieliśmy jeszcze rodzin, było oczywiste, że większość czasu spędzaliśmy w Instytucie. Gdy zaczęły pojawiać się nasze dzieci, stawało się to, szczególnie dla kobiet, trudne. Profesor nie był zachwycony nieco krótszą naszą obecnością w Zakładzie, nigdy jednak tego nie komentował.

Był zycziwym dla pracowników, z pozoru łagodnym, a faktycznie wymagającym. Pozostawiał wiele swobody w wyborze kierunku i tematu badań, nie narzucał swej woli, nie kontrolował, lecz bacznie obserwował nasze działania. Uważał, że zdolny, młody adept nauki da sobie radę sam, a słabemu szkoda poświęcać czas. Pewnie miał rację.

Miał duże poczucie humoru. Umiał z siebie żartować, nigdy nie był urażony (tak to odbieraliśmy), gdy my młodzi, robiliśmy różne „psikusy”. Jak to było miło, gdy przy „herbatach” mogliśmy wspólnie zaśmiewać się i wzajemnie sobie dogadywać.

Profesor lubił młode towarzystwo, zarówno studenckie, jak też instytutowe. Co roku obchodziliśmy św. Mikołaja, okraszanego słodyczami i zabawnymi, często złośliwymi wierszykami, co roku tańczyliśmy na organizowanej w Instytucie zabawie czy to sylwestrowej czy karnawałowej. Profesor był duszą towarzystwa, niezmordowanym tancerzem. W okresie świątecznym zapraszał nas do swego mieszkania na śpiewanie kolęd. Czuliśmy ciepło i serdeczność Obojga Profesorostwa.

Był nie tylko przyrodnikiem, lecz także humanistą, kochał teatr i literaturę piękną, wiele czytał. Nieraz podsuwał nam co ciekawsze książki, poczym rozmawialiśmy o nich wyrażając własne opinie.

Jak podkreślałam na początku mojej wypowiedzi profesor Pawłowski był autorytetem naukowym, ale co nie mniej ważne, również był dla nas wszystkich autorytetem moralnym. Był niesłuchanie prawym człowiekiem, prostolinijnym, nie kryjącym swoich przekonań. Trzeba pamiętać, że żyliśmy wtedy w trudnych czasach. Obcowanie z takim człowiekiem jak profesor Pawłowski, miało dla nas młodych ogromne znaczenie.

Jestem wdzięczna losowi, że było mi danym pracować w zespole przez Niego kierowanym.

Krystyna Grodzińska

„Bogus”

Niepozornej postury, nie pozbawiony wielu śmieszności, traktowany z lekka protekcjonalnie przez Profesora Szafera (wówczas naszego Dyrektora), Profesor Bogumił Pawłowski był dla nas, młodych asystentów, nie kwestionowanym autorytetem. Dziś zastanawiam się – dlaczego tak było? Dlaczego, pomimo mojego szczeniackiego nadkrytycyzmu, pomimo pokpiwania sobie z roztargnienia „Bogusia”, z jego zachwyków nad urodą studentek, a zwłaszcza „odkrytych ramionek” (te z reguły były opisywane żonie, która przyjmowała

to z pobłażliwym uśmiechem), pomimo pozornego braku jakichkolwiek oznak wielkości, potrafiłam dostrzec, a może wówczas raczej tylko odczuć, walory tego Uczzonego.

Przymiotem najbardziej oczywistym była Jego znajomość flory. Im więcej sama poznałam tę dziedzinę, tym bardziej zdumiewał mnie zakres i głębokość florystycznej wiedzy Profesora. Starsi koledzy, którzy w latach 60. zaczęli wyjeżdżać z Profesorem na zagraniczne konferencje, opowiadali z podziwem, że „Bogus” lepiej zna florę alpejską niż miejscowi botanicy prowadzący wycieczki. Ale chyba nie to budziło we mnie największy szacunek. Obserwowałam z jaką odpowiedzialnością jest traktowane każde, najbardziej błahe oznaczenie jakiegokolwiek okazu rośliny. Na pytanie „co to jest Panie Profesorze?” najpospolitszy „chabaż” był skrupulatnie oglądany i diagnozowany. Na wycieczkach testowałam Profesora wyszukując najbardziej mizerne i nietypowe szczątki okazów, ale szybko mi to minęło, gdy widziałam niewzruszoną powagę z jaką Profesor traktował takie pytania. Dla niego każde poprawne oznaczenie rośliny było jakąś minicząsteczką służenia NAUCE, a nawet PRAWDZIE, a to przecież – taka służba, była celem życia naukowca, a jednocześnie zaszczytnym powołaniem. Nie, Profesor nigdy nie składał takich górnolotnych deklaracji. Ja jednak nie potrafię inaczej zinterpretować Jego bezwzględnej naukowej rzetelności, pełni zaangażowania w prowadzone badania, Jego braku zainteresowania dla korzyści finansowych lub też ignorowania stanu majątkowego innych ludzi – w sensie braku podziwu dla bogactw.

Bo poza tym potrafił zrozumieć ubóstwo i dyskretnie pomagać. Wiem (nie od Niego), że wraz z żonąłożył na wychowanie dziecka samotnej matki (nie swojego!). Sama doświadczyłam Jego pomocy, gdy pożyczył mi znaczną sumę na zdobycie mieszkania spółdzielczego. Pamiętam Mu może nawet nie tyle samą pożyczkę, co sposób w jaki to uczynił – bez chwili wahania, po prostu, z miłym krótkim oświadczeniem „ależ panno Elu, zwróci mi pani kiedy będzie mogła” (o procentach nie pomyślałam ani ja, ani – jestem przekonana – On).

Jestem pewna, że we wspomnieniach o Profesorze będzie bardzo często podnoszony wątek Jego stosunku do studentów. W czasach gdy studiowałam (1951–56), botanikę wykładał Prof. Szafer, a fitosocjologia szkoły Braun-Blanqueta była nauką na uczelniach zakazaną, jako produkt „zgnitego kapitalizmu”. Mam więc nieco inną perspektywę niż późniejsze, popaździernikowe pokolenia krakowskich botaników. Profesora poznałam w czasie studiów, ale poniekąd prywatnie, dzięki śmiałości i dobrej orientacji mego kolegi, Mariana Kuca. Byliśmy w lipcu 1954 r. w Tatrach na praktyce wakacyjnej (we czwórkę, jeszcze z Krystyną Grodzińską i Stanisławem Grabskim). Taka praktyka była organizowana po raz pierwszy – Dyrekcja Parku była wręcz zdziwiona naszym przybyciem, ale dała nam zakwaterowanie, pozwolenie na chodzenie poza szlakami oraz ogólne polecenie byśmy dostarczyli materiał roślinny do powstającego alpinarium, po czym nikt się nami zupełnie nie zajmował. Ten miesiąc w Tatrach to była dla mnie cała cudowna epopeja! Ale *ad rem*: pod koniec naszego pobytu nasz nieformalny, lecz niekwestionowany przywódca – Marian, dowiedział się, że Profesor z żoną i asystentami bawi w Zakopanem i prowadzi badania łąk tatrzańskich. Prośba o pozwolenie na przyłączenie się nas do ekipy została zaakceptowana i tak oto zaczęliśmy przyglądać się z bliska jak się robi zdjęcie fitosocjologiczne. Profesor swobodnie, prawie mimochodem, wyjaśniał nam od czasu do czasu co właściwie robimy i po co, a pozostali członkowie grupy: żona Profesora (Stanisława czyli „Siasia”) i asystenci – Tadeusz Tacik, Maria Zajac i Kazimierz Zarzycki, (Adama Jasiewicza wtedy

z nami nie było) również przyjęli nas bardzo miło. Jak dziś to widzę, zostaliśmy przy okazji poddani dyskretnemu sprawdzaniu co do stanu naszej znajomości flory. W czasie powrotów z hal Profesor czasem nas pytał: „na pewno państwo nie znacie...., albo: „a może też to znacie.... – a po tym było otwarte, radosne uznanie, że „państwo” rozpoznało *Viola biflora*, czy *Bellidiastrum micheli*. Marian Kuc był już wtedy dobrym florystą – wyszedł ze sławnej szkoły Mazarakiego w Chrzanowie, sporo gatunków znała też Krysia – córka farmaceutki, ale ja w tym czasie wprawdzie (dzięki tej naszej „praktyce”) rozpoznawałam już wiele roślin tatrzańskich, ale nie znałam najpospolitszych gatunków łąkowych! Ani Profesor, ani młodzi asystenci nie okazywali zdziwienia moją ignorancją, a każda poprawna sugestia co do gatunkowej tożsamości odnalezionej w trakcie badań rośliny wywoływała dyskretną lecz wyczuwalną aprobatę. Już pod koniec pierwszego dnia włączyliśmy się czynnie do wykonywania zdjęć fitosocjologicznych. To było upajające dla mnie uczucie, że mogę pomagać w prawdziwych badaniach, że rozumiem sens wykonywanych czynności. Pamiętne są też dla mnie godziny południowego odpoczynku, przysłuchiwanie się rozmowom o roślinności, o Tatrach, o badaniach, czy wspomnień Profesora z Gór Czywczyńskich. Pamiętam też, że Profesorowa zorientowawszy się w naszych baaardzo skromnych zasobach (nie dostaliśmy spodziewanej zaliczki na koszty pobytu) zaprosiła nas do wspólnego posiłku. Zaproszenie przyszło chyba nie bez pomocy najmłodszego asystenta – Kazika Zarzyckiego, który – dopiero co upieczony magister – łatwo wyczuł co w trawie piszczy. W każdym bądź razie to on nas uspokajał, gdy nieco wstydziliśmy się dokonanych spustoszeń w profesorskiej spiży.

To był już koniec tego pobytu Profesora w Tatrach i nasz z Nim kontakt trwał wtedy zaledwie kilka dni. Kilka dni, które zadecydowały o całym moim życiu zawodowym. A potem było kilkanaście lat pracy pod Jego kierunkiem w Instytucie Botaniki PAN. Opiekował się badaniami swych asystentów w sposób bardzo dyskretny. Właściwie Jego kierownictwo ograniczało się do gotowości odpowiadania na nasze wątpliwości i pytania, ale nikomu nie narzucał tematu ani zakresu badań. Tylko przy opracowywaniu kolejnych tomów „Flory Polski” autorytatywnie rozdawał materiał do opracowania, doskonale orientując się kogo stać na podjęcie badań nad grupami krytycznymi, a kto (jak ja) podoła tylko łatwiejszym rodzajom. Pozwalał nam na rozwijanie własnych zainteresowań i dlatego zupełnie bezkonfliktowo, przy pełnym Jego poparciu wyłoniła się z czasem grupa z „odchyleniem” ekologicznym, która później utworzyła – pod kierunkiem Kazimierza Zarzyckiego – Zakład Ekologii.

Profesor był osobą niezwykle lojalną i nie łatwo zmieniał swoją o kimś opinię. Wiedzieliśmy, że nieco idealistycznie oczekiwał od nas bezwzględного poświęcenia nauce całego naszego czasu, ale jakoś, choć z pewnym trudem, pogodził się z moim zaangażowaniem w rodzinę i nigdy nie wycofał swego naukowego wsparcia. Nie lubił dzieci, ale od czasu do czasu pytał o moją *progeniturę* (zapewne w danej chwili nie mając pojęcia o jej płci i liczbie), ale podkreślając w ten sposób swoją dla mnie życzliwość.

Zawdzięczam Profesorowi bardzo wiele. Odegrał nie tylko ważną rolę w moim życiu naukowym, ale też swoim autorytetem Uczzonego potwierdził hierarchię wartości, którą wyniosłam ze swego skromnego domu. Nie ukrywał się ze swoimi przekonaniem (był praktykującym katolikiem), ale też ich nie demonstrował, ani nikomu nie narzucał. Wśród

jego asystentów byli zarówno ateści, jak i ludzie wierzący. Parę razy słyszałam w tamtych latach od znajomych: „bo ty to żyjesz w enklawie”. Rzeczywiście, tworzyliśmy wówczas grupę młodych ludzi bezinteresownie zaangażowanych w badania nad roślinnością; nie konkurowaliśmy ze sobą ani o karierę, ani o pieniądze, ani nawet o względy Profesora. Wiele pomocy i życzliwości doznawałam od moich koleżanek i kolegów i sądzę, że w znacznej mierze to dzięki Profesorowi mogła panować przez szereg lat taka atmosfera. Czy osiągnęlibyśmy więcej podejmując wyścig o pozycję? Nie znam poprawnej odpowiedzi. Często jednak wracam pamięcią do Profesora, do tamtych lat – i są to dla mnie (pomimo całej ówczesnej ponurej rzeczywistości PRL-u) dobre lata, dobre wspomnienia.

Elżbieta Pancer-Koteja

Ostatnie pozdrowienia

Profesor Bogumił Pawłowski był moim pierwszym Mistrzem i wielkim autorytetem. Pod Jego kierunkiem wykonałam pracę magisterską, a później przez 2 lata pracowałam. On nadał kierunek moim przyszłym badaniom.

Osobowość Profesora, wielka skromność i bezpośredniość w odniesieniu do studentów, Jego udział w kursowych wycieczkach botanicznych, jak też w tych organizowanych przez Koło Przyrodników, sposób ich prowadzenia i przekazywanie ogromnej wiedzy, nawet w czasie zabawy, umiłowanie przyrody sprawiły, że poświęciłam się botanice, a nie zoologii, jak zamierzałam na początku studiów.

Profesor Pawłowski był przedstawicielem epoki, która bezpowrotnie minęła, Człowiekiem prawdy, bez reszty oddany swoim badaniom naukowym.

Był wielkim polskim taksonomem roślin. Ponieważ sama zajmowałam się również tą dziedziną, może bardziej niż wielu innych, mogę docenić wielkość dokonań Profesora. Oprócz niezwyklej pracowitości, podkreślić trzeba wspaniały zmysł obserwacji i wielką intuicję w dochodzeniu do ostatecznych wniosków. To sprawiło, że wiele Jego ujęć systematycznych i opracowań jest do dziś aktualnych. Jest to tym bardziej zadziwiające, że w swojej pracy Profesor nie dysponował tak świetnym sprzętem optycznym, jaki mamy obecnie, ani nie były jeszcze znane lub używane, powszechnie dziś stosowane metody badawcze. Narzędziami pracy Profesora były: własne oczy, linijka z podziałką i prymitywna lupa, dająca niezbyt duże powiększenie.

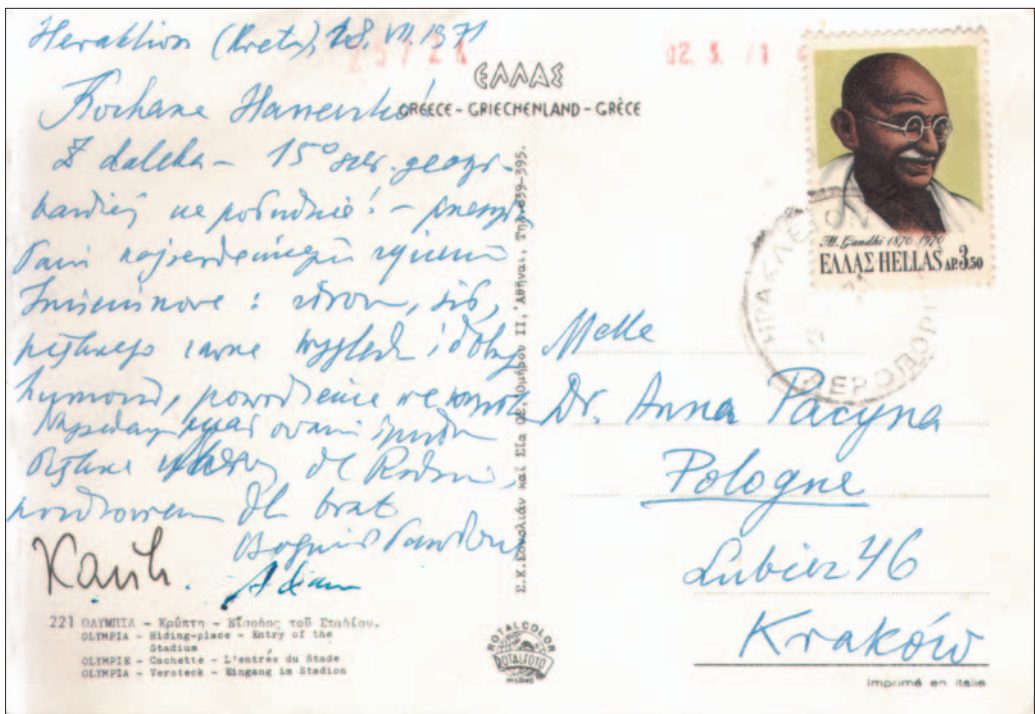
Profesor był człowiekiem niesłychanie serdecznym, bezpośrednim i wszystkim bardzo życzliwym. Na codziennych „drugich śniadaniach” o godz. 11⁰⁰ w Zielniku Instytutu Botaniki, Profesor był zawsze obecny. Spotkania te cechowała bardzo serdeczna atmosfera, bez jakiegokolwiek dozy sztywności. Można było przy Nim rozmawiać o wszystkim, nie tylko o sprawach naukowych, ale również o problemach codziennych. Równie serdeczny był dla starszych, utytułowanych pracowników, jak i dla tych najmłodszych.

W tych trudnych czasach żyliśmy w Instytucie jak w jednej rodzinie. Profesor bardzo cenił tradycje, więc wspólnie świętowaliśmy imieniny, św. Mikołaja czy Prima Aprilis.

Szóstego grudnia zawsze każdy znajdował na swoim biurku św. Mikołaja z piernika. Był to skromny, ale jakże nam miły podarunek od Niego. Od nas również zawsze coś dostawał. Pamiętam na przykład dowcipną przesyłkę zupełnie z innej okazji, z której my najmłodsze asystentki czy stażystki [Halina Piękoś (Mirkowa), Róża Rajchel (Kaźmierczakowa), Małgosia Nakoneczna-Kotańska i ja] byłyśmy bardzo dumne. W tamtych czasach poczta z zagranicy szła długo i nie zawsze dochodziła. Od pewnego czasu Profesor czekał na list od prof. Favarger. Codziennie dopytywał się w sekretariacie czy list nie nadszedł. Prawdopodobnie mieli wspólnie rozwiązać jakiś problem botaniczny.

Profesor opracowywał wtedy chyba rodzaj *Alchemilla*. Postanowiłyśmy spreparować list od prof. Favarger, który donosił, że znalazł jakiś nowy, bardzo ciekawy gatunek *Alchemilla*. W liście był humorystyczny opis tego gatunku, oczywiście żadnych cech typowych dla *Alchemilla*. Pamiętam, że np. kwiaty miały paznokcie lakierowane na czerwono. Załączony był też okaz zielnikowy odpowiednio spreparowanego przywrotnika. Problem był tylko z przetłumaczeniem listu na język francuski, bo żadna z nas go nie znała. Pomógł nam w tym mąż Małgosi, który dobrze władał francuskim. Z niejakimi trudnościami zgromadziłyśmy znaczki francuskie, a potem weszłyśmy w porozumienie z sekretarką, która dostarczyła list Profesorowi. Kawał był świetny, bo Profesor przez dłuższą chwilę nie pojął się, że to wszystko bujda. Obie strony świetnie się ubawiły.

W okresie Bożego Narodzenia Profesor zapraszał zawsze naszą grupkę do domu na kolędowanie. Podchodził do tego bardzo poważnie. Wyciągał różne śpiewniki i ręcznie przepisywał wiele zwrotek kolęd. Bardzo lubił śpiewać. Każdej kolędy śpiewało się wiele,



wiele zwrotek. Najbardziej lubił „oj Maluśki, Maluśki...” i „Gdy śliczna Panna...” Oprócz śpiewania zawsze była pyszna herbata i wspaniały tort, wypieku p. Baranowej, która pracowała na portierni w Instytucie. Choinka zawsze była żywa, a na niej paliły się prawdziwe świeczki. Profesor nie uznawał lampek elektrycznych. Raz, pomimo naszego czuwania, choinka stanęła w ogniu. I tu wielką przytomność umysłu wykazała siostra Pani Profesorowej, dr Maria Bulanda (Maruszka), która porwała choinkę i wrzuciła do wanny, podczas, gdy my biegałyśmy po mieszkaniu w poszukiwaniu wiadra na wodę.

Profesor zawsze pamiętał o imieninach wszystkich, nawet tych najmłodszych, a ze swoich częstych, jak na tamte czasy, wyjazdów zagranicznych, przysyłał pozdrowienia. W tych do mnie, zawsze pamiętał również o moich rodzicach i bracie. Pamiętał o wszystkich! Takim był Człowiekiem.

Mam kilka tych kartek, ale najdroższą jest mi ostatnia, którą dostałam na imieniny w roku 1971, jeśli nie ostatnia w ogóle, to z pewnością jedna z ostatnich, jakie w swoim życiu Profesor napisał. Wysłał ją z Grecji, gdzie tak tragicznie zakończył życie. Już nie pamiętam, którego to było dnia – może 28, a może 29 lipca. Kartkę dostarczono do Instytutu w południe. Wszystkie w pokoju wspólnie cieszyłyśmy się nią i oglądały, a za pół godziny przyszła do Instytutu tragiczna wiadomość telefoniczna, że Profesor nie żyje. Zupełnie nas zmroziło, nie mogłyśmy w to uwierzyć. Wielka radość przeszła w wielki smutek.

O pamięci i serdeczności Profesora mogą też świadczyć gratulacje jakie złożył moim rodzicom, po mojej promocji doktorskiej. Było to w czerwcu 1971 r. Profesor był recenzentem mojej pracy doktorskiej i przy tych gratulacjach wspomniał, że to już chyba ostatnia recenzja, jaką napisał. Chyba miał rację.

Nie sposób opisać zwięźle wszystkich wspomnień o Profesorze; zawsze miłych, bo innych nie było. Takim był Człowiekiem!

Anna Pacyna

Po 40 latach – moje wspomnienia o Profesorze

Profesora Bogumiła Pawłowskiego poznałam w roku 1963. Było to na drugim roku studiów biologicznych, na kursowym wykładzie z systematyki roślin. Teoretycznie nabytą wiedzę uzupełnialiśmy następnie na zajęciach w terenie. Pierwsze odbyły się w naszym Ogrodzie Botanicznym, gdzie na żywych roślinach poznawaliśmy sekrety ich budowy.

Prócz przewidzianych w regulaminie studiów wyjazdów, często uczestniczyłam również w wycieczkach dla studentów z wyższych lat. Ponieważ w latach 60. ubiegłego wieku na zajęcia terenowe podróżowało się głównie koleją, nie było ścisłego limitu miejsc. Profesor bardzo lubił ten rodzaj transportu, gdyż wtedy można było sobie pozwolić na odrobinę relaksu. Podczas podróży urozmaiceniem było śpiewanie piosenek określanych dziś mianem „biesiadnych”, np. „Czerwony pas”, „Na zielonej Ukrainie” (miało to dla Profesora szczególne znaczenie, gdyż przypominało mu przedwojenny okres badań florystycznych, prowadzonych w latach 1933–1936, w Karpatach Wschodnich – w Górach Czywczyńskich,

należących wówczas do Polski). Słowa nowych, wesołych i nieznanych Mu wcześniej piosenek Profesor zapisywał skrzącnie w swoim notesie.

Trasy wycieczek to przede wszystkim: Beskidy, Wyżyna Miechowska i Krakowsko-Częstochowska, w tym dolinki podkrakowskie. Jedną z wycieczek do doliny Kluczwody, zainicjowała moje zainteresowania tym regionem i stała się przedmiotem pracy magisterskiej (1964–1966). Badania na tym terenie kontynuowałam jeszcze przez wiele lat, co pozwoliło także na obserwację i opisanie niekorzystnych zmian, jakie tu zaszły w sianie roślinnej. W wyniku zabudowy i braku właściwego użytkowania znikły piękne łąki z rzadkimi gatunkami roślin, m.in. storczyków, zmniejszyły się powierzchnie muraw kserotermicznych, a wykonywane w nich zdjęcia fitosocjologiczne pod kierunkiem Profesora, przechowywane z pietyzmem w moim notesie przeszły już, niestety, do historii.

Spośród dalszych wyjazdów szczególnie utkwiła mi w pamięci wiosenna wycieczka na Szczebel i Lubogoszcz – pasma Beskidu Wyspowego. Podróż była długa. Późnym wieczorem wsiedliśmy w pociąg jadący do Zakopanego, z którego w Chabówce, już po północy, przesiedliśmy się na kolejny, do Nowego Sącza. Nad ranem dojechaliśmy do Kasinki Małej. Czas skracaliśmy sobie śpiewami. Po nieprzespanej nocy, nieco zmęczeni lecz radośni, opuściliśmy ten środek lokomocji i już pieszo udaliśmy się w góry w celu „botanizowania”. Nawiasem mówiąc, nieznaną dotąd Beskid Wyspowy tak mnie zachwycił, że związałam się z nim na dłużej, a flora trzech jego pasm: Ćwilina, Łopienia i Mogielicy, stała się obiektem moich 4-letnich badań (1966–1970) wykonywanych w ramach pracy doktorskiej.

W trakcie wycieczek Profesor, aby pomóc nam w przyswajaniu wiedzy i wskazać, że nie tylko wzrok służy do rozpoznawania roślin, ale można w tym celu uruchomić też



Zajęcia w Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego

inne zmysły, np. dotyk, węch czy smak, organizował konkursy. Ochotnik, z zawiązanymi oczami, rozpoznawał, z jaką rośliną (oczywiście owocem lub warzywem) ma do czynienia. Nagrodą za trafne rozpoznanie były słodczyce, np. czekolada, ciastka czy cukierki, które w tym czasie często nie były dostępne w sklepach.

Wielkość profesora Pawłowskiego polegała również na tym, że oprócz cech typowych dla naukowca i nauczyciela akademickiego, umiał nawiązywać kontakty z młodzieżą. Świadczyło to o niezwykłym dystansie do własnej osoby i nie obawianiu się utraty autorytetu. Uważał, że równie ważnym elementem zajęć terenowych, oprócz części ściśle naukowej, jest pewna doza relaksu. Zatem, po spełnieniu obowiązku dydaktycznego Profesor z poważnego naukowca przeistaczał się w „beztroskiego młodzieńca”, zachęcając nas do wspólnych zabaw. To podobało się studentom, czego wyrazem było tradycyjne zapraszanie Profesora przez Koło Przyrodników na jesienne wycieczki do doliny Będkowskiej, na tzw. „pieczenie ziemniaków” oraz na coroczne bale karnawałowe.

Prócz systematyki roślin Profesor wykładał także fitosocjologię (na III r.). Na obydwie wykłady uczęszczałam pilnie, skrzętnie notując i przyswajając przekazywaną przez Profesora wiedzę. Egzamin z botaniki (w tym czasie wyłącznie ustne), obejmujące obszerny materiał nie były zbyt łatwe. Niektóre studentki uważały, że niebieska bluzeczka do granatowej spódniczki (podobno ulubiony kolor Profesora) odwróci jego uwagę i przyniesie im szczęście. Jednak nie zawsze to działało. Lepiej było solidnie się przygotować i oczarować Profesora wiedzą, a nie ubiorem. Ponieważ nie lubię niebieskiego koloru, więc siłą rzeczy nie miałam wyboru i postawiłam na przyswojenie wiadomości, co nie sprawiało mi trudności, gdyż już wtedy botanika była moją życiową pasją.

W roku 1965 Profesor przeszedł z naszego Instytutu do pracy w sąsiednim Instytucie Botaniki PAN. W związku z tym pracę magisterską (w r. 1966) wykonałam już pod kierunkiem profesora Jana Kornasia. Jednak profesor Pawłowski nie utracił z nami kontaktu. Jego gabinet był dla nas stale otwarty i w sprawach merytorycznych można się było z Nim zawsze konsultować. Również spotykaliśmy się na organizowanych wspólnie wycieczkach naukowych, czy zabawach karnawałowych. W lutym 1971 r. odbył się bardzo uroczysty jubileusz 50-lecia pracy naukowej Profesora, w którym wszyscy (także my doktoranci UJ) wzięliśmy udział. W tym samym roku ukończyłam pisanie mojej rozprawy doktorskiej, a jednym z recenzentów miał być właśnie Profesor Pawłowski. Pracę miałam już gotową, więc udałam się z jej egzemplarzem do Profesora. Był to początek lipca 1971 r. Profesor właśnie przygotowywał się do wyjazdu, na „XV Międzynarodową Wycieczkę Geobotaniczną IPE”, a w jej ramach miała się odbyć wyprawa w pasmo Olimpu w Grecji. Było to dotąd nie zrealizowane, wielkie Jego marzenie i zapewne chciał się do tego solidnie przygotować, dlatego prosił mnie, abym pracę dała mu po przyjeździe. W dniu 27 lipca w godzinach przedpołudniowych przechodziłam obok sekretariatu PAN, gdzie właśnie dotarła tragiczna wiadomość o nagłym wypadku Profesora w czasie wycieczki na Olimp, zakończonego jego śmiercią. Trudno nam wszystkim było w to uwierzyć. Jednakże, kiedy już nieco opadły emocje z tym związane stwierdziliśmy, że ta niezwykła śmierć była godna tak wielkiego naukowca jakim był profesor Bogumił Pawłowski – zginął jak żołnierz na posterunku.

Moje pierwsze spotkanie z Profesorem Bogumiłem Pawłowskim

Jestem sądeczanką z dziada, pradziada i do czasu matury mieszkałam w Nowym Sączu, ale biologię studiowałam na Uniwersytecie Poznańskim. Toteż, gdy po trzecim roku studiów nadarzyła się okazja wzięcia udziału w praktykach wakacyjnych w Obidowej (w bliskich mojemu sercu stronach), z chęcią zgłosiłam się na nią, razem z dwiema koleżankami, rodowitymi poznaniankami.

W ramach tych praktyk był zaplanowany między innymi wyjazd w Tatry, podczas którego Profesor Pawłowski z Krakowa miał nas zaznajamiać z tatrzańską florą. Słyszałyśmy w Poznaniu, że jest to sławny profesor i nawet trochę obawiałyśmy się spotkania z taką sławą. Zajechał autobus, który miał nas zawieźć do Zakopanego. Przy wejściu, niezwykle uprzejmy kierowca witał się z każdym z uczestników, a było nas sporo z różnych ośrodków z całej Polski. Pytał każdą osobę skąd jest i z każdą wchodzącą zamienił parę słów, ściskając jej dłoń. Nam, przyjezdnym z Poznania, bardzo podobał się ów kierowca i koleżanki poznanianki stwierdziły, że na południu Polski są bardzo uprzejmi ludzie. Ja, oczywiście, jako sądeczanka, skwapliwie i z dumą to potwierdziłam. Jakież było nasze zdziwienie i zażenowanie, gdy po chwili okazało się, że ów sympatyczny i ujmujący swoim zachowaniem kierowca, to nie kto inny tylko... Profesor Bogumił Pawłowski!

Miłą dla mnie pamiątką związaną z Profesorem Pawłowskim jest klucz do oznaczania roślin autorstwa W. Szafera, S. Kulczyńskiego i B. Pawłowskiego, „Rośliny Polskie”, ofiarowany mi przez Profesora w dniu rozpoczęcia przeze mnie pracy w Instytucie Botaniki PAN z następującą dedykacją: „Kochanej Pani Marcie Rabczak w dniu rozpoczęcia jej pracy w Instytucie Botaniki – by badając chromosomy, rozpoznawała także całe rośliny, z najserdeczniejszymi pozdrowieniami Bogumił Pawłowski, 1. X. 1969”.

Marta Mizianty

Kochanej Pani Marcie Rabczak
w dniu rozpoczęcia jej pracy w Instytucie
Botaniki
- by, badając chromosomy, rozpoznawała
także całe rośliny
z najserdeczniejszymi pozdrowieniami
1. X. 1969 Bogumił Pawłowski

Profesor Pawłowski i morele

Profesora Pawłowskiego poznałam na II roku studiów w czasie wykładów z botaniki i towarzyszących im ćwiczeń terenowych. Na egzaminie otrzymałam ocenę bardzo dobrą z podkreśleniem. Kto zdawał ten egzamin pewnie pamięta, że było to duże wyróżnienie. Ta dobra nota zachęciła mnie do podjęcia pracy magisterskiej z zakresu botaniki właśnie pod kierunkiem Profesora.

Z naszego roku zgłosiły się trzy studentki: Anna Pacynianka, Halina Piękosiońska i ja, Róża Rajchelówna. Byłyśmy dopiero na trzecim roku, ale wiadomo było, że na pracę magisterską u Profesora potrzebne są dwa pełne sezony wegetacyjne. Profesor wyznaczył nam tematy dotyczące flory nadpotokowej w dolinach tatrzańskich. Temat był przemyślany, tak że nasz błądź co błądź duży wysiłek, i intelektualny, i fizyczny, nie miał służyć tylko zdobyciu stopnia magistra. Zebrane dane pozwoliły nawiązać do problemu wędrowek roślin górskich wzdłuż rzek wypływających z Tatr, badanego jeszcze w latach 30. przez prof. Walasa, a także zaobserwować wnikanie roślin niżowych, często synantropijnych, w obręb Tatr.

Profesor Pawłowski odnosił się do studentów niezwykle życzliwie. W czasie zajęć terenowych i wycieczek z Kołem Przyrodników panowała miła, serdeczna atmosfera. Profesor nie stwarzał żadnego dystansu, żartował i bawił się na równi z nami. Mimo to jednak miał wielki autorytet i cieszył się powszechną sympatią. Pamiętam z tego okresu wiele konkursów i zabaw, które uczyły poznawania flory. Na jednej z wycieczek z Kołem, w Ojcowie, odbywał się konkurs rozpoznawania roślin przy pomocy dotyku. Zgłosił się Włodek Wojewoda, wówczas już kończący studia. Zawiązano mu oczy kolorową chustką i dano do rozpoznania jakąś gałązkę. Włodek po chwili „obmacywania” gałązki, w pełnej napięcia ciszy, z powagą oznajmił: „Jeśli to nie jest palma daktylowa, to jest to *Prunus spinosa*”. I rzeczywiście była to gałązka tarniny. Dostał brawa od Profesora i studentów.

W czasie wycieczek Profesor inicjował śpiewanie piosenek. Były różne, niekiedy dość frywolne, ale także legionowe i z okresu powstań, również z Powstania Warszawskiego, niosące wartości patriotyczne i przypominające wielokrotnie tłumione przez zaborców i okupantów dążenia Polaków do wolności, której i wtedy, w latach 60. ubiegłego wieku, nie mieliśmy.

Przygotowywanie herbaty na wycieczkach było swoistym rytuałem. Profesor zawsze miał ze sobą paczkę dobrej zagranicznej herbaty. Do czynności parzenia dopuszczane były tylko zaufane osoby. Na kocherze gotowało się wodę, wsypywało dużą ilość herbaty i przykrywało pokrywką. Po chwili, gdy pokrywka nieco się uniosła, zaparzony napój o kolorze niemalże smoły zlewało się do garnuszka Profesora, a z pozostałości, wielokrotnie zalewanej gotującą wodą, reszta uczestników wycieczki, zwykle 20 do 30 osób, miała jeszcze doskonałą herbatę.

Mimo ogromnej wiedzy, Profesor był człowiekiem bardzo skromnym. Wszystkich traktował życzliwie, zarówno swoich współpracowników, osoby ze stopniami naukowymi, jak i pozostałych. Jako magistrantki, mogłyśmy uczestniczyć w śniadaniach, które odbywały się w zielniku na parterze. Mówiono o sprawach naukowych, ale także serdecznie obchodzono

imieniny, ważniejsze jubileusze i wydarzenia związane z karierą naukową pracowników. Życzenia składano często w formie wierszowanej. Pamiętam, że wiersz z życzeniami dla Krysi Grodzińskiej na jej 30. urodziny kończył się słowami: ... „jedyna w naszym gronie dzierlatka, Krysia trzydziestolatka”. Przyznam, że byłam trochę zgorzonna, że wypomina się „Pani mgr Grodzińskiej” tak... zaawansowany wiek.

Profesor umiał cieszyć się sukcesami i nawet małymi osiągnięciami innych. Oto przykład. Władek Wojewoda, zbierając materiały do pracy magisterskiej z mikologii, znalazł na Jurze Krakowskiej stanowisko *Cyclamen europaeum*. Kiedy powiedział o tym dość niezwykłym odkryciu Profesorowi, ten z radości uściskał go i ucałował. Opowiadał mi to Władek, wówczas będący jednym z wielu studentów, i to zainteresowany mikologią, a nie florystyką czy systematyką roślin wyższych, tak bliskich sercu Profesora.

Profesor miał doskonałe wyczucie problematyki ochrony przyrody. W czasach, kiedy tworzone rezerwy ściśle dla wielu ekosystemów wtórnych lub półnaturalnych, jak np. muraw kserotermicznych, Profesor wysunął koncepcję tzw. powierzchni niezmiennalnych. Po różnych zawirowaniach idea ta jest obecnie realizowana w takich formach ochrony, jak użytki ekologiczne i zabiegi ochrony czynnej na obszarach chronionych. To właśnie profesor Pawłowski przyczynił się w walnie do uratowania naszego endemitu – warzuchy polskiej *Cochlearia polonica*, wskazując p. Alinie Kwiatkowskiej źródłiska Centurii jako miejsce do utworzenia zastępczego stanowiska tego gatunku. Mimo wielu prób podejmowanych w kolejnych latach, do dziś jest to jedyne stanowisko, na którym warzucha utworzyła liczną populację o prawidłowej strukturze wiekowej.

To, że Profesor lubił śpiew, wiedzą wszyscy, ale może warto przypomnieć, że w okresie Bożego Narodzenia Państwo Pawłowscy zapraszali do siebie przyjaciół i znajomych na śpiewanie kolęd. Pamiętam jedno takie spotkanie kolędowe w domu Profesorostwa, przy choince. Byli wtedy między innymi uroczy państwo Środoniowie z dwójką dorastających już dzieci.

Mimo wielu obowiązków i różnych terminowych spraw, Profesor znajdował czas, aby ze swoimi magistrantkami wybrać się w ich teren badań. Był piękny słoneczny, ale dość chłodny dzień. Wybraliśmy się w teren Hanksi Pacyny, do Doliny Kościeliskiej. Zauważyłam, jak bardzo Profesor zmienił się po przekroczeniu górnej granicy lasu. Dopiero tu czuł się jak we własnym domu, jak w swoim królestwie. Promieniał! Usiedliśmy na murawie, aby coś zjeść. Wzięłam z domu cztery morele, którymi chciałam wszystkich poczęstować. Miałam wielkie aluminiowe pudło na prowiant, równie wielką pokrywę, i nie wiedziałam na czym podać te morele. Wzięłam je więc na dłoń i podeszłam do Profesora. a Profesor na to:” Ach, uważa Pani, że ja to jestem taki, co to z ręki jada?” i zaczął się śmiać, obracając w żart mój niewątpliwy nietakt.

Również w Zakopanem w rozmowie ze mną, pani dr Pawłowska, przez wszystkich nazywana Siasią, opowiedziała mi historię z życia Profesora, znaną jej już tylko ze słyszenia. Otóż Profesor przeżył w dzieciństwie wielkie cierpienie. Kiedy miał około cztery i pół roku, umarła jego matka, Zofia Pawłowska. Po powrocie z pogrzebu mały Boguś usiadł samotnie w kącie pokoju i powiedział: „Już mnie nic na tym świecie nie cieszy.” Jak na tak małe dziecko to poważna i mądra refleksja. Profesor musiał bardzo kochać swoją mamę. Przy różnych okazjach mówił, że Zofia to najpiękniejsze kobiece imię.

Śmierć Profesora przyszła zupełnie niespodziewanie. Pogrzeb zgromadził bardzo wiele osób z całej Polski. Złożono mnóstwo wieńców i kwiatów. Jeden z wieńców, utkany z owoców jarzębiny, kwiatów i liści naszych drzew, miał na szarfię napis „Ukochanego Profesora żegnają Tatry i polska flora”.

Róża Kaźmierczakowa

O egzaminie z botaniki i liście do studentów

Wspomnienia, którymi chcę się podzielić, pochodzą z okresu moich studiów, tzn. z lat 60. ubiegłego wieku. W naszych rozmowach o czasach studenckich, przy okazji różnych spotkań w gronie kolegów, postać profesora Pawłowskiego jest przywoływana bardzo często – liczne wycieczki z jego udziałem, wykłady z systematyki roślin na II roku i, oczywiście, egzamin. Zostało nam w pamięci stojące w sali wiadro, wypełnione żywymi roślinami, które trzeba było rozpoznawać (a różnie z tym bywało...), ale przede wszystkim zapamiętaliśmy przyjazną i życzliwą atmosferę podczas egzaminu. Odnosiło się wrażenie, że Profesor tak samo jak student jest zainteresowany, by egzamin zakończył się sukcesem. On zdawał ten egzamin z każdym kolejnym studentem od nowa. Nasza koleżanka, nieżyjąca już Barbara Komorowska, zdeklarowany zoolog z późniejszym doktoratem uzyskanym na Sorbonie, także zapamiętała egzamin z systematyki roślin u Profesora, a swoje przeżycia zawarła w wierszu „Laura i Filon”¹. Oto jak przebiegał ten egzamin:

Laura i Filon

Najważniejsze to było mieć
Niebieską bluzkę.
Z trudem, ale zdobyłam.
No bo jak tu nauczyć się
Na pamięć
Tych wszystkich roślin?
Ale jak kto ma pecha...
Czy Panie nie mają innych
Bluzek niż niebieskie?
Nie mógł wcześniej
O to zapytać?
Na mnie musiało trafić?
Pomagał mi jak mógł.
Na ostatnim liściu dopiero
Wyłożyłam się kompletnie.
No, no... jest taka piosenka
O Filonie...
Ach! Wiem! Laur!
Artysta z niego był przedni.
Udawał, że coś mu spadło
Na podłogę.

¹ Barbara Komorowska 2007. Koberzec Babuni, s. 142. Wyd. Miniatura, Kraków.

do Uczestników
Praktyki Wakacyjnej Biologów
w Obidowej w r. 1967.

Shkhan! Panstov!

Najdroższemu podmurium Was; z wysi anghelija
najlepszego.

Te Praktyki, to Wasz drugi narodzi. Pierz parz tyzad
bedziecie z wysiym kontaktie z przyrodz, i to przyrodz gorzdy
jonec nie cektam primury; iminisiors pace ostencela.
Pamiglaye, i chotiyicie potrefit badzi brochuniminy
strukture chomomomoy ey subtelny budowy komorind
pod nielobymym porostucum, ne lishici parozidnyim;
prijemni-lam, jedn shaceni z omi te celovici, plaku
z dyne oguminy, jekum is jekum, jakum i chotio-
wede i otet wyzdy z isf wzejimym parz ramca
i odinudy omomom na tucte. To slomici Praktyka shaka
Wam duci morlovici. "Pod ducum i z wysi przyrodz."
Pod ducum, ne jekum, ne trefpordum, ne shakum.

Dznye naroda, to Wamc wzejimone wpojivici. Pierz
parz tyzad: lishici shomoni mals, wzejimomoye flu-
tencate. Bolicici isigte mom-coty, ktoz is jekof
mictacy, poduce i omom uspi. Ploki; i omomoy
vimitai umomogulak, shacici i z rize se soby,
i amorfay kotelovica; wpojivici.

Wamc Praktyka moci byci dla Wamc Przyrodz -
inchoyeyes przyrodz, ktoz wroto przyrodz. W jekum

Formin tak budzi, to u ducij mieni zalicy a
Wamc samych. Od teps, te taca wtojicy i Wamc
krece - i u Wamc wrojidi, u Wamc vstomud
do Przyrodz i u Wamc shomoni wzejimone
Jyzy Wamc, by Wamc Praktyka bly
pucy um, ktoz is wpojimone puc ducije
lita. Jyzy Wamc, by Wamc dasta mectum,
korym; i mactum wzejimom!

Wamc

Profumid Pawlowsk

W Kradoci, 26. V. 1967



Prof. B. Pawłowski ze studentami podczas wycieczki w Pieniny i Tatry, lipiec 1967 r.

Drugie wspomnienie wiąże się z miesięczną praktyką wakacyjną w Obidowej u podnóża Gorców, w której brali udział studenci z różnych uczelni. Odbywałam ją po trzecim roku studiów, czyli po decyzji o pisaniu pracy magisterskiej z botaniki. W programie zajęć była m.in. wycieczka w Pieniny i Tatry, którą prowadził profesor Pawłowski – wspinała, ze swobodną atmosferą i, jak to często bywało na wyjazdach z Profesorem, z winem pitym w ostatni wieczór w schronisku.

Chcę jednak powiedzieć o liście, który Profesor napisał do nas, uczestników, na rozpoczęcie tej praktyki. W ciepłych, wręcz serdecznych słowach, pragnął nam uświadomić ogromną wartość takiej formy zajęć dla rozwoju młodych ludzi i zachęcić do dobrego wykorzystania tego czasu. Wtedy nie byliśmy na tyle dojrzały, by to dostrzec i docenić; dopiero znacznie później zrozumiałam sens tego listu i zwróciłam uwagę na jego elegancką formę, świadczącą o szacunku dla studentów.

Na końcu listu profesor Pawłowski życzył nam, by praktyka była przeżyciem, które się wspomina przez długie lata – i tak rzeczywiście się stało.

Stefania Loster

Dedycacje od Profesora Pawłowskiego

Moją pracę zawodową rozpoczęłam w Zakładzie Ekologii w Instytucie Botaniki PAN, w listopadzie 1959 r. Pracę tę kontynuowałam do września 1965 r., a następnie pracowałam w Instytucie Botaniki UJ (1965–2005).

Na początku pracy, jednym z moich obowiązków, było zbieranie literatury na temat rozmieszczenia gatunków roślin naczyniowych w Karpatach, także w Karpatach Wschodnich. Miałam też odszukać świeżo wówczas wydaną na ten temat pracę profesora Bogumiła

Pawłowskiego. Niestety, w bibliotece Instytutu Botaniki PAN nie było egzemplarza tej pracy.

Ktoś z pracowników Instytutu, widząc moje zakłopotanie, poradził mi, abym poszła do profesora Pawłowskiego i poprosiła o wypożyczenie autorskiego egzemplarza. Tak też zrobiłam. Poszłam popołudniu, gdy było już mniej osób w Instytucie i opowiedziałam Profesorowi o swoim kłopotcie. Profesor uśmiechnął się i poprosił, abym chwilę zaczekała. Profesor był drobnej postury i niskiego wzrostu, więc podsunął pod półkę przy ścianie krzesło, wspiął się na nie, wyjął poszukiwaną odbitkę, a po zejściu z krzesła napisał dedykację i wręczył mi odbitkę. Byłam tym bardzo zaskoczona, podziękowałam w kilku słowach. Wtedy Profesor powiedział: „Widzę, że pani naprawdę się ucieszyła. To dobrze. Niech ta praca pani służy”. Raz jeszcze podziękowałam i odeszłam.

Praca, którą wtedy otrzymałam nosi tytuł: „Ogólna charakterystyka geobotaniczna Gór Czerwonych”. Została wydana jako Rozprawa Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, tom 72, dział B, 1946 r. seria III, tom 32 nr 6.

Swoją dedykację na tym egzemplarzu Profesor wpisał po polsku: „Kochanej Pani mgrze Helenie Trzczyńskiej z serdecznym pozdrowieniem od autora”. Było to zdarzenie bardzo miłe i zachowuję je od tego czasu, to znaczy od jesieni 1960 r., w serdecznej pamięci.

Kochanej Pani
mgrze Helenie Trzczyńskiej
z serdecznym pozdrowieniem
od autora

Mam też odbitki innych prac, które przywodzą mi na pamięć dalsze kontakty z Profesorem, jak np. egzemplarz pracy pt. „Observationes ad Thymos polonicos et nonnullos ucrainicos pertinentes – Uwagi o polskich i niektórych ukraińskich macierzankach”. Na tej odbitce dedykacja jest napisana po łacinie i skierowana zarówno do mego męża, Tadeusza Tacika, jak i do mnie. Są też odbitki od Profesora przeznaczone tylko dla mego męża, który jest autorem ilustracji w pracach Profesora, dotyczących rodzaju *Alchemilla*, jak np. w pracy „Nowe przywrotniki zachodnio-karpackie z serii *Calicinae* Bus. – *Alchemillae occidentali-carpathicae novae ad seriem Calicinae* Bus. pertinentes” (Fragm. Flor. Geobot. 3(1), 1957 – praca po łacinie, z opisami gatunków, w tym wielu nowych, opisanych przez Profesora).

Curiosis dominis dr Thadde et Drusae
Helenae Tacikae
cum salutatione cordiali
K Pawłowski

Te wspomnienia pokazują pogodną serdeczność i szacunek, jakim profesor Bogumił Pawłowski darzył ludzi, z którymi stykał się na co dzień w pracy. Niech te słowa będą dla Niego podziękowaniem za Jego dobroć, a dla nas, niech będą – choć trochę – wzorem postępowania.

Helena Trzcńska-Tacik

Niezapomniane wycieczki z Profesorem

Profesora Pawłowskiego poznałam już na II r. studiów. Na pierwszej, czerwcowej wycieczce do Tunelu, uczestniczył cały mój rok, zarówno botanicy, jak i zoolodzy (około 60 osób), ale od następnego roku brali w nich udział tylko botanicy. Dojazd na zajęcia odbywał się pociągiem, co dawało możliwość spędzania czasu (w oczekiwaniu na pojazd) z przeznaczeniem na wspólne śpiewy i zabawy (np. „Stary niedźwiedź mocno śpi”, „Chodzi lis koło drogi” czy „Moja Ulijanko”). Podobnie wyglądała wycieczka „na buczyny” do Bukowna, z tym, że po drodze było kilka przesiadek, na które z reguły nie zdążaliśmy, więc trzeba było dłużej czekać na następne połączenie. Ale o to właśnie Profesorowi chodziło! Oczekujący na pociąg pasażerowie mieli „atrakcję”, patrząc jak starszy pan i grupa młodzieży gonią po peronie i wyśpiewują „biesiadne piosenki” lub „dziecinne wylczanki”.

Były też wyjazdy dłuższe, np. w Beskid Wyspowy. Wyjeżdżaliśmy z Krakowa ok. godz. 18.00 i po dwóch przesiadkach, w środku nocy oraz spędzeniu kilku godzin w oczekiwaniu na kolejne połączenia, następnego dnia o „świcie”, czyli ok. 5.00 rano, byliśmy już na miejscu (tzn. w Dobrej k. Limanowej), skąd wyruszaliśmy w góry. W czasie podróży nie nudziliśmy się, wcale, bo Profesor był do takiego wyjazdu „przygotowany”, tzn. rozdawał zainteresowanym teksty piosenek, a na „wzmocnienie” częstował słodyczami (np. cukierkami). Powrót oczywiście odbywał się późnym popołudniem, toteż po spędzeniu na wycieczce ok. 24 godzin, dojeżdżaliśmy do Krakowa zmęczeni, ale zadowoleni. My byliśmy młodzi „ciałem”, a Profesor „duchem”.

Z dłuższych wyjazdów kilkudniowych wspominam Tatry. Było to już po sesji, jako „nagroda” dla naszego rocznika, uważanego przez Profesora za sympatyczny i taki, który umie nie tylko zbierać rośliny i pilnie uczyć się, ale również, w wolnych od nauki chwilach, potrafi bawić się i śpiewać. Szczególnie utkwiła mi w pamięci wyprawa na Błyszcz (2158 m n.p.m.) i Bystrą. Profesor miał zezwolenie na prowadzenie wycieczek do rezerwatów ścisłych poza szlakami. Szliśmy z Ornaku przez Dolinę Pyszniańską i Siwe Sady na przełaj. Celem tej wyprawy było odnalezienie stanowiska bardzo rzadkiej wierzby – *Salix helvetica*. Od szczytu Błyszczka dzieliło nas jeszcze tylko ok. 150 m, gdy jakiś niewielki kamyk, prawdopodobnie upuszczony przypadkowo przez któregoś z uczestników, uderzył jedną z koleżanek w rękę. Przerażona dziewczyna usiadła na drodze i nie była zdolna ani do dalszego marszu pod górę, ani do samodzielnego zejścia w dół. Sytuacja stawała się dramatyczna, więc dwóch „krzepakich” asystentów zdecydowało, że zniosą ją do Doliny Kościeliskiej. Na szczęście wkrótce od dołu zaczęła podchodzić mgła, która przysłoniła

przerażające ją przepaściste widoki, co wiązało się prawdopodobnie z lękiem wysokości. Pozostali uczestnicy wycieczki pod wodzą Profesora wkrótce też zdecydowali się na odwrót, jako że zaczęło się już robić późno. Stanowiska wierzyby nie udało się odszukać. W drodze powrotnej złapała nas burza, więc przemoczeni dotarliśmy do autobusu, który dowiózł nas do dworca kolejowego, gdzie na szczęście mieliśmy zarezerwowany w pociągu do Krakowa wagon. Ponieważ czekała nas całonocna podróż, a nasze ubrania były przemoczone, za przykładem i zachętą ze strony Profesora przebraliśmy się wszyscy w „nocne stroje”. Następnie, w trosce o nasze zdrowie, Profesor zaaplikował wszystkim po kubku wina. Było to skuteczne „lekarstwo” i dzięki temu nikt z uczestników nie zachorował.

Podczas zajęć terenowych prócz poznawania łacińskich nazw roślin i zbierania okazów do teczek zielnikowych, Profesor uczył nas wykonywania zdjęć fitosocjologicznych. Najczęściej były to „płaty buczyny”, jednak nie wszystkie napotkane jej płaty do tego się nadawały. Często brakowało w nich większości lub niektórych tzw. gatunków charakterystycznych. Gatunkiem, który zdaniem Profesora musiał znaleźć się w każdym wykonywanym zdjęciu fitosocjologicznym, była *Dentaria glandulosa*. O ile inne rzadsze taksony, jak np. *Polystichum aculeatum* można było sobie darować, to żywiec gruczołowaty być musiał! Zmęczeni, chodziliśmy nieraz długo w poszukiwaniu odpowiednich płatów. Aby móc chociaż na chwilę zatrzymać się i odpocząć znaleźliśmy sposób. „Wyczuliśmy”, pewną słabość Profesora. Lubił, gdy uczestniczki wycieczek chodziły w krótkich spodenkach. Chcąc zrobić przerwę w celu wypoczynku rzucaliśmy hasło, że „jest bardzo gorąco i pewna grupa osób chce się przebrać w krótkie spodnie”. Aby przerwa trwała dłużej, po pewnym czasie na „przebieranie” decydowały się kolejne dziewczyny. Nawet jeśli trasa wycieczki była długa, Profesor wyrażał zgodę na taki postój. Innym wykorzystywanym przez nas sposobem na zrobienie przerwy w zajęciach było hasło, że „chcemy włożyć rośliny do teczek botanicznych, żeby się nie zniszczyły”. Oczywiście obydwie te „sposoby” na zrobienie przerwy dawkowaliśmy w umiemy sposób.

Następny dłuższy postój to była przerwa na obiad. Był to cały ceremoniał związany z rytuałem parzenia herbaty dla Profesora. Nie każdy mógł dostąpić tego zaszczytu, swoistego wyróżnienia, a przy tym testu (czy nada się na asystenta, a zarazem na naukowca)! Sprawdzany dostawał wtedy kocher (bardzo już stary i wysłużony, który towarzyszył Profesorowi jeszcze podczas badań naukowych w Górach Czyweczyńskich i na Czarnohorze w latach 30. ubiegłego wieku) i dużą paczkę dobrej herbaty.

Profesor pił bardzo mocną herbatę. W Jego gabinecie czajnik cały czas stał na kuchence elektrycznej, a Profesor częstował herbatą przychodzących do niego asystentów. Podawał ją często w swoim kubku, a my żartowaliśmy, że w ten sposób „można poznać myśli tych, co piją z czyjegoś kubka”.

Co roku odbywały się wakacyjne praktyki studentów w Obidowej organizowane przez ośrodek krakowski. Przyjeżdżali na nią studenci z różnych ośrodków uniwersyteckich z całej Polski. Pod koniec praktyki największą atrakcją był przyjazd profesora Pawłowskiego, zazwyczaj w towarzystwie którejś z asystentek. Najczęściej była to Hala P. Na zakończenie praktyki jej uczestnicy tradycyjnie układali przyśpiewki typu „tasiemiec”. Jedna z nich licząca aż 52 zwrotki powstała w dużej mierze podczas wycieczki na Turbacz i opisywała różne wydarzenia i problemy życia na praktyce. Nie zapomniano też uwiecznić przyjazdu Profesora, co obrazują następujące strofy:

(38) A gdyśmy zielniki nasze przekładali
Ktoś krzyknął z radości
„Nasz Profesor wali”

(39) I czas już zaśpiewać
I przywitać pora
Naszego drogiego
Tutaj Profesora....

Profesor na praktyki przyjeżdżał zwykle „zaopatrzone” w kanapki przełożone dobrymi gatunkami wędlin (np. z kielbasą myśliwską, kabanosami) i żółtych serów (np. ementaler). W tamtych czasach, te specjały nie były powszechnie dostępne w sprzedaży, więc w menu praktyki przeważał chleb ze smalcem lub marmolada, a na kolację bywała „zacierka” na mleku, natomiast na obiad tzw. „kręcone” czyli sznycle, których częstotliwość studenci określali w skali Braun-Blanqueta (ilościowość i towarzyskość) na 5.5. Przyjazd Profesora był więc wielką atrakcją kulinarną. Specjały, którymi częstował, szybko znikaly, więc na następnym dniu Profesor był już na naszym, „praktykowym” wikcie.

Wiosną i jesienią organizowane były przez Koło Przyrodników Studentów UJ wycieczki w Dolinki Podkrakowskie, w których Profesor brał także udział. Na jednym roku biologii studiował książd Stefan Boroń. Pomimo że były to czasy głębokiego komunizmu, a całe szkolnictwo miało mieć wybitnie świecki charakter, na naszych wycieczkach odprawiane były msze święte w plenerze, w których wszyscy brali udział. Dopiero potem oraz po części o charakterze naukowym, odbywały się „zabawy i harce”. Do Krakowa powracaliśmy dopiero w godzinach wieczornych lub nawet nocnych.

Jako przełożony Profesor był bardzo subtelny i dbał o dobre imię swoich asystentów. Kiedy znalazł na wycieczce jaką rzadką roślinę najpierw dyskretnie nas przepytował, żeby w razie błędnego rozpoznania studenci tego nie usłyszeli. Gdy jednak okazywało się, że jego obawy były zbyteczne głośno nas chwalił słowami: „dobrze, dobrze”.

Profesor rzadko dawał studentom możliwość zdawania egzaminu z botaniki przed terminem. Jednak raz zgłosiło się parę osób z mojej grupy, w tym niebieskooka blondynka Hania, bardzo pilna i z reguły dobrze przygotowana. Była tak zdenerwowana i przejęta, że w ocenie Profesora zdała zaledwie na dostatecznie. Jako opiekun II roku studiów spytałam o wyniki z egzaminu. Na ocenę Hani, aż jęknęłam! Powiedziałam, że na pewno była świetnie przygotowana i być może zdenerwowała się, bo jej bardzo na tym egzaminie zależało. Profesor powiedział, żeby się raz jeszcze do niego zgłosiła, ale nie zgodziła się. Po wpis tej oceny do indeksu poszła dopiero w czasie sesji. Profesor zaczął z nią rozmawiać, przy okazji zadał kilka pytań, na które Hania wiedząc, że nie jest to egzamin, świetnie odpowiedziała. Profesor bez komentarza wpisał jej ocenę „bardzo dobrze”. Po egzaminie przyszedł do mnie i powiedział: „Danko, tyle lat pytam i nie zorientowałem się, że ktoś dobrze przygotowany, może się tak zdenerwować, że nie potrafi wykazać, ile umie.” Potem, kiedy podczas wakacji Profesor pojechał na obóz ze studentami w Sudety, który prowadziła Hania, opiekowała się Nim serdecznie. Po powrocie z obozu Profesor powiedział do mnie: „Danko, jakby mi było przykro, gdybym wyrządził jej krzywdę nie ocenając jej właściwie.”

Podczas urlopu Profesor intensywnie pracował w Tatrach. Przed wakacjami mówił, że będzie mieszkał w willi „Pod Szczytami” w Zakopanem i zaprosił mnie na wspólne wycieczki oraz wykonywanie zdjęć fitosocjologicznych w górnoreglowych świerczynach. Byłam wtedy po IV roku studiów i mieszkalam z kuzynką w Poroninie. Jedną taką wyprawę, którą na długo zapamiętałam, odbyliśmy w okolicy Zbójnickich Turni w Dolinie

Kościeliskiej. Profesor starał się wykorzystać czas do ostatniej chwili i dopiero, gdy zapadał zmrok zdecydował się schodzić. Byliśmy w trójkę: Profesor, jego żona Stanisława, którą nazywał zdrobniale Siasią i ja. Schodziliśmy przez wąwóz Wysranki, wąski, głęboki, zarosnięty pokrzywami, usiany zwalonymi drzewami i dużymi głazami porośniętymi mchem. Profesor schodził szybko w dobrych butach na wibramach, ja niestety w trampkach i bez większego doświadczenia w chodzeniu nocą po górach. Żona Profesora przewróciła się i przecięła sobie rękę. Było ciemno, a Profesor wołał do nas tylko: „hop, hop, Siasiu”, „hop hop, panno Danko”. Wreszcie ok. godziny 22.00 dotarliśmy do wylotu Doliny Kościeliskiej, skąd ostatnim już autobusem dojechaliśmy do Zakopanego. Ja miałam jeszcze dojechać do Poronina. W ostatniej chwili wpadłam do stojącego już pociągu i zmęczona przygodami natychmiast zasnęłam. Obudziłam się, kiedy pociąg już wolno ruszał z Poronina (do Krakowa). Wyskoczyłam już w biegu.

Profesor do zamężnych kobiet w Instytucie, odnosił się przy powitaniu z dużym szacunkiem. Dawnym obyczajem całował je w rękę. Jednak źle znosił, gdy któraś z jego asystryntek wychodziła za mąż. Po pewnym czasie nieco zmodyfikował swoje poglądy i pocałunkiem w dłoń, obdarzał zarówno panny, jak i mężatki. A my, oczywiście skomentowałyśmy tę zmianę w jego postępowaniu: że woli już całować w rękę wszystkie panie, byle by się tylko nie „zabrażdkowały”.

Z okazji Świętego Mikołaja Profesor miał zwyczaj obdarowywania wszystkich swoich pracowników drobnymi „prezentami”. Mikołajową „imprezę” uświetniały różne dowcipne prezenty specjalnie przygotowywane przez kadrę asystencką oraz układane na tę okoliczność wierszyki, które następnie odczytywane były w dniu 6 grudnia na wspólnym uroczystym śniadaniu (przy lampce wina stawianego, oczywiście, przez Profesora). Nawiasem mówiąc, Profesor zawsze miał w szafce pewien zapas tego alkoholu na „różne okazje”: imieniny, „śledziówkę”, czy przyjazdy do Instytutu gości, często zagranicznych.

Z przytoczonych tu tylko niektórych opowieści widać, że profesor Bogumił Pawłowski był postacią niezwykle barwną i każdy, kto go znał, mógłby opisać wiele takich zdarzeń i przygód. Do tych, które sama przeżyłam, wracam we wspomnieniach z sentymentem, niczego nie żałuję i niech już pozostaną na zawsze w mojej pamięci.

Danuta Tumidajowicz

Profesor Bogumił Pawłowski – przodownik Górskiej Odznaki Turystycznej

Moje wspomnienie o profesorze Pawłowskim jest z pewnością inne niż pozostałe, jako że nie jestem biologiem. Zachował się w mojej pamięci nie jako profesor, ale jako mądry, dobry, życzliwy człowiek, kochający świat, a przede wszystkim góry.

W czasie moich studiów w latach 1956–1961 (w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Krakowie) zafascynowałam się górami. Poznawałam je między innymi poprzez zdobywanie

górskiej odznaki turystycznej (GOT). Według regulaminu potwierdzenie odbycia wycieczki musiał podpisać uprawniony przodownik turystyki górskiej.

Moja siostra i niektóre koleżanki studiowały biologię. Danusia Tumidajowicz powiedziała mi, że ich profesor ma uprawnienia do podpisywania punktów do GOT. Przyszłam więc na ul. Lubicz, pan Profesor porozmawiał ze mną o górach, o wycieczkach i podpisał mi książeczkę GOT. Wysłałam zachwycona Profesorem i zmobilizowana do dalszego poznawania gór. Wkrótce zdobyłam brązową odznakę GOT.

Któregoś lata Profesor prowadził wycieczkę studentów biologii na Czerwone Wierchy w Tatrach. Dołączyłam do tej eskapady. Przy wejściu do Doliny Profesor wszystkich nas zgromadził przy tablicy Tatrzańskiego Parku Narodowego i zaczął opowiadać o terenie, o górach itp. Nigdy dotąd nikt mi tak gór nie pokazywał! W czasie wycieczki można było o wszystko Profesora zapytać, porozmawiać, a przy tym wszyscy odnosili się do niego z ogromnym szacunkiem. Wracaliśmy przez Kobylarz. Pan Profesor pilnował, by w kominku skalnym (który jest tam po drodze), nikomu nic się nie stało, a my podśmiewaliśmy się, że z dołu patrzy na nogi schodzących studentek. Mimo że od tamtej pory minęło przeszło 50 lat, nigdy nie zapomniałam tej wspaniałej wycieczki.

W następnych latach zdobywałam kolejno srebrną, potem złotą odznakę GOT i zawsze po przemiłej rozmowie profesor Pawłowski podpisywał mi odbyte wycieczki. Potem sama zostałam przodownikiem GOT.

Justyna Michałowska z domu Trzcńska

Wspomnienia Anny Medveckiej-Kornaś

Czasem po latach wspomina się mile
Minione fakty i minione chwile.
W tym Instytucie obchodzono święta –
Czego wśród młodych nikt już nie pamięta.
Święty Mikołaj pojawiał się w grudniu,
Do sali zebrań wchodził popołudniu.
Mijały smutki i mijały troski
Gdy Mikołajem był J. Fabijanowski
Anioła rolę grał z wielkim przejęciem
Tadeusz Tacik – jak wskazuje zdjęcie.
Po maską diabła kto się wówczas schował?
Można to zdradzić – Anna Kornasiowa.
Były życzenia, prezenty, żarciki,
No i nierzadko do tego wierszyki.
W 10 lat po fakcie jak z tajnych kompletów
Mogliśmy do jawnego przejść uniwersytetu



6. XII. 1955

Święto mikołajowe było wyjątkowe.
 Prof. Pawłowski dostał wierszowaną mowę
 I choć wiersz ten był w dziele „Szkoly botaniczne”¹
 Niech i tu przypomina Bogusia cechy liczne.

A więc:

Szanowny Profesorze! Rok po roku Święty
 Pragnie Cię rozweselić, wielbić Twe talenty.
 Dziś na 10-cio lecie też coś wesołego
 Chciałby Ci dać w prezencie, ale coś nowego.
 A tymczasem czas pędzi, leci naprzód Ziemia
 A Profesor Pawłowski wcale się nie zmienia.
 Ma te same zalety, wygląd, temperament,
 Które wielbiąc niejeden spisano atrament.
 Jak dawniej jest ruchliwy, młodzieńczy i żwawy
 (Lecz teraz, zamiast w Tatry jeździ do Warszawy)
 Jak dawniej godzinami siaduje w zielniku
 W stosie książek, papierów, no i przy czajniku (z herbatą).
 Jak dawniej każdej ładnej coś powie panience
 (Lecz nie lubi studentek z obrączką na ręce,
 Można dodać: a lubi w niebieskiej bluzce lub sukience)
 Jak dawniej zawsze pędzi nie widząc nikogo

¹ A. Zemanek, B. Zemanek (red.) 2007. Naukowe szkoły botaniczne w Krakowie. Tradycje i nowe zadania. Ogród Botaniczny – Instytut Botaniki, Uniwersytet Jagielloński, Kraków, s. 374.

Na wykład, do Zakładu, swoją zwykłą drogą.
 Jak dawniej posiedzenia czwartkowe przeżywa
 Z lubością – oczy zamknie, głowa mu się kiwa.
 Jak dawniej „loczka” kręci w każdej trudnej sprawie
 Siadłszy na zgiętej nodze spod szkieł patrzy – ciekawie.
 Jak dawniej, gdy w złość wpadnie fruwają przedmioty,
 Ale zaraz po burzy cichną groźne grzmoty.
 Jak dawniej lubi humor, wino, no i śpiew
 Taki jest Prof. Pawłowski, niezrównany szef.

Dziś sumując te wszystkie
 Bogusia talenty
 Cały kosz podarunków
 Przynosi Mu Święty!

EPILOG

Profesor Pawłowski mówił: warto żyć czas taki
 Póki się na górskie da wyruszać szlaki.

Błogosławiony Jan Paweł twierdził, że w górach im wyżej
 Tym do nieba i Boga z tego świata bliżej....
 Widać chciała Opatrzność, że na górskim szczycie
 Olimpu nasz Profesor zakończył swe życie.

Ten tom o Profesorze, we wspomnienia obfity
 Utrwała jego pamięć – jak wślawiły Olimp
 Piękne greckie mity.



Anna Medwecka-Kornaś

